

KONTRAPUNKTY

WIT

SZOSTAK

STO DNI BEZ SŁOŃCA



powergraph

Wit Szostak "Sto dni bez słońca"

Fahrenheit Crew



Wit Szostak

Sto dni bez słońca

Powergraph

cena: 39,00

stron: 464

To miała być zwyczajna wymiana uniwersytecka.

Lesław Srebroń trafia na Finnegany, by spędzić semestr jako wykładowca na tamtejszej uczelni. Skryte za horyzontem wyspy nie figurują nawet na mapach, ale dla tak ambitnego badacza to tylko kolejna inspiracja. Nie ma wątpliwości, że uda mu się wcielić w życie projekt ocalenia cywilizacji Zachodu. Nie może być inaczej, skoro za kierunkowskaz ma prozę wielkiego polskiego fantasty, Filipa Włócznika.

Tylko że na miejscu nie wszystko wygląda tak, jak się początkowo wydaje.

Gdzie przebiega granica między fikcją a rzeczywistością? Czy prawda, jaką poznajemy o nas samych, jest wiedzą obiektywną, czy tylko kolejną kreacją?

Najnowsza powieść Wita Szostaka to zjadliwa akademicka satyra, w której dostaje się zarówno

pracownikom naukowym, systemowi kształcenia, jak i polskiej fantastyce (oraz zwyczajom seksualnym dzikich). Ale to także pasjonująca historia o współczesnym Don Kichocie, który nie potrafi zrezygnować ze złudzeń.

„Sto dni bez słońca” to powieść szalenie zabawna, strasznie smutna i niebezpiecznie inteligentna.

Fragment powieści:

Wit Szostak

Sto dni bez słońca

O Siedmiu nocach bez świtu

Praca oczyszcza, praca uszlachetnia, praca uzdrowia – wszystkie te złote dewizy towarzyszyły mi, kiedy tamtego wieczoru chciałem zapomnieć o tym, co wydarzyło się w domu profesor O’Sullivan. Zatracić się w wysiłku umysłowym, tego mi było trzeba! Wziąłem więc z półki jedną z powieści Filipa Włócznika i zanurzyłem się w lekturze.

Mój wybór nie przypadkiem padł na *Siedem nocy bez świtu*. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności była to książka, od której nie tylko na najbliższym wykładzie zamierzałem zainicjować przygodę moich studentów z twórczością polskiego fantasty, ale zarazem tekst, w którym wątek erotyczny został ledwie zarysowany kilkoma wielce subtelными muśnięciami. Jeden z recenzentów zauważył słusznie, że jest to najbardziej „wyprana z erotyki” powieść tego prozaika. Tego mi było trzeba.

Najpierw bez wytchnienia przeczytałem pierwszy rozdział. Znałem już tekst dobrze i moje oczy z rozkoszą ślizgały się po ukochanych frazach. Potem jednak zszedłem do kuchni przygotować sobie herbatę, by wesprzeć nieco opadające powieki. Wyposażony w filiżankę wonnego naparu wróciłem do lektury. Proza Włócznika jak zawsze mnie zachwyciła.

Powieść rozgrywa się w korytarzach krakowskiego metra. Bohaterowie wędrują zamkniętymi liniami pochodzącymi z XIX wieku, śpią na stacjach od dekad nieczynnych. Polski fantastę wspina się na wyżyny kunsztu, kiedy opisuje wspaniałe secesyjne zdobienia stacji „Ratusz”, projektowane przez Stanisława Wyspiańskiego. Obraz staje przed czytelnikiem jak żywy; widzimy ażurowe łuki i podpory, podobne pniom drzew kolumny oraz wspinałą, choć nadwerżoną przez przemijający czas ceramikę, która zmienia perony w kwitnącą łąkę. W tym wielkim podziemnym labiryncie kryje się całe modernistyczne imaginarium polskości, pochody spizowych królów, pasaże z sarkofagami. Kolejne linie schodzą coraz głębiej, poniżej poziomu Wisły, dawne trasy pociągów prowadzą do podziemnych hal i komnat. Metro krakowskie łączy się z sztolniami Wieliczki, bohaterowie

wielokrotnie gubią się i odnajdują, a ich dzielna drużyna przeżywa chwile smutku i radości.

Osią fabularną jest misja ocalenia miasta. Oto z trzewi Ziemi w XX wieku zaczynają docierać do krakowian złowrogie pomruki. Rajcy miejscy zwołują sztab kryzysowy, który dochodzi do wniosku, że w głębinach przebudziła się bestia. Dla wielu baśń o smoku wawelskim to tylko legenda. Ale nie dla Filipa Włócznika! Z mitologicznych nici tka mieniący się tysiącem barw kobierzec swej opowieści, która wciąga czytelnika bez reszty. Rada Miasta zwołuje drużynę śmiałków, których zadaniem jest odnalezienie i pokonanie przedwiecznego smoka.

Przez sześć dni nasi dzielni bohaterowie przemierzają się w ciemnych korytarzach, zdani tylko na własną intuicję i zbiór krakowskich legend (który zresztą gubią już trzeciego dnia). Co jakiś czas słyszą pomruki i eksplozje, świat trzęsie się w posadach. Ale nie poddają się!

Wreszcie ostatniego dnia – który dla nich jest jedną długą nocą – docierają do przyczyny chthonicznych odgłosów. I kiedy już gotują się do rozprawy z poczwarą, oczom ich ukazują się wychodzący zza zakrętu oddział sędziwych partyzantów. Są to weterani z czasów drugiej wojny światowej, starszycowie, którzy nie złożyli broni, tylko nadal prowadzą dywersję i śnią o wolnej Polsce. To oni przeprowadzili w ostatnich tygodniach serię wybuchów, detonując część ładunków pozostawionych jeszcze przez Armię Czerwoną po wodzą marszałka Koniewa. Dlaczego to robią – odsyłam zainteresowanych wprost do powieści. Dość powiedzieć, że powód jest ważny – nie tylko polityczny, ale przede wszystkim metafizyczny.

Bohaterowie przekazują partyzantom wieści, że właśnie na powierzchni ziemi padł komunizm. Jest wzruszenie i płacz starych bojowników. Na wpół ślepi, niedołęzni, prowadzeni przez niedoszłych smokobójców, wychodzą na powierzchnię. Kraków fetuje akurat zaprzysiężenie rządu Tadeusza Mazowieckiego. Po nocach bez świtu nastaje dzień. Są łzy, jest scena zbiorowego ocalenia, jest wielka literatura.

Uważny czytelnik zapewne nabierze pewnych podejrzeń względem oryginalności pomysłu. Ale o żadnej wtórności nie może być mowy! Warto bowiem dodać, że Włócznik wydał swoją powieść w roku 1991 – sam dysponuję właśnie tym wydaniem – na fali przemian w Polsce, a więc cztery lata przed premierą znanego w świecie obrazu Emira Kusturicy.

Czytałem do świtu, herbata dawno się skończyła. Jednak mimo całego mego zaangażowania, mimo literackiej doskonałości prozy Włócznika, nie udało mi się sprawić, bym zapomniał o tym, co ujrzałem wcześniej w domu profesor Sadhbh O'Sullivan. Kiedy tylko zamykałem oczy, ów obraz uporczywie powracał